

Ostatni romantyk

*Skąd jesteś rodem?
Czy z mgieł wiekuistych?
Z liści dębowych, którymi wieńczy gloria?
Czy też z chemicznych, mętnych mikstur,
kipiących w mrocznych laboratoriach?*

/Józef Łobodowski, Ars Poetica/

Chełm z Lublinem łączy stara, wyboista szosa, wyłożona kocimi łbami, i - jak mówią okoliczne legendy - pamiętająca czasy Chrobrego, którego graniczne baszty pilnujące rubieży państwa ocalały do dziś na peryferiach Chełma. Jadąc po tej szosie z Chełma na zachód, warto zboczyć do starego, błotnistej miasteczka, Siedliszcze, które też ma prawo do historycznego awansu, bo tu właśnie urodził się Kazimierz Andrzej Jaworski, poeta, prozaik, tłumacz, pedagog i redaktor, myślę że sławnego w okresie Dwudziestolecia pisma literackiego, „Kamena”.

Mało tego, hen od Woli Korybutowej, przez podobną do Soplicowa Dobromyśl, aż do rogatek Siedliskich, prowadzi stary, napoleoński trakt, ułożony przez saperów polskich w armii francuskiej, idącej pod wodzą Małego Kaprała na podbój Moskwy. Dla wielu, którzy urodzili się tu i mieli kontakt z tą ziemią od dzieciństwa, jej dzieje prawdziwe i zmyślane, powtarzane z ojca na syna i z pokolenia na pokolenie, stały się ich wewnętrzną wiążącą częścią. Prawdą jest, że Historia maczała również palce w naszych okolicach, nie mówiąc o chlubnych czynach i pomnikach powstających za naszych czasów.

Tak zwana Szosa Lubelska istnieje jak istniała, nie zmieniła swego przedwojennego oblicza, choć w miasteczku Jaworskiego usypano, po wygnaniu „ruskich”, Kopiec Piłsudskiego. Dalej jednak stoi skromny gotycki kościółek, otoczony wieńcem starych lip, od dawna za mały dla pobożnych okolicznych parafian. Błękit nieba jest zmienny, ale wyraźnie sprzyja okolicznym rolnikom, których zbiory nigdy nie cierpiały na niedosyt. Mówię nigdy, myśląc o tamtych, przedwojennych czasach, z którymi od wielu lat straciłem kontakt.

Są i inne pamiątki, bo Ziemia Chełmska z sąsiadującym Lublinem, to - każdy dziś przyzna - serce Polski i źródło krystalicznej polszczyzny. Nie muszę, ale pragnę przypomnieć tu Reja,

Kochanowskiego, Szymonowicza i Klonowicza oraz współczesnych mi: Czechowicza, Leśmiana i bohatera tej pracy, Józefa Łobodowskiego. Dodam jeszcze dla wewnętrznej okrasy, że nie byłoby prawdziwego obrazu Lublina, bez prawdziwego obrazu Chełma i odwrotnie.

W sierpniu, 1933 roku, zachodzą omalże historyczne zmiany w Chełmie, zapomnianym przez stołeczne instytucje, choć upamiętnionym za wybitne czyny patriotyczne przez wybitnego pisarza o sławie światowej, Reymonta. A mianowicie ówczesny starosta miasta, Illukiewicz udziela zezwolenia na wydawanie miesięcznika literackiego „Kamena”, i już w pierwszym numerze pisma widzimy nazwisko Józefa Łobodowskiego wśród współpracowników. O tym dowiedziałem się wiele lat po powstaniu pisma, gdy i ja zacząłem ubiegać się o druk. W każdym razie, jak donoszą historyczne zeznania, wszystkie literackie drogi, zwłaszcza dla pisarzy Lubelszczyzny, prowadziły do chełmskiej „Kameny”, która z pisma regionalnego, stała się z czasem ogólnopolskim pismem literackim.

Zatrzymajmy się na chwilę przy dacie wspomnianej wyżej. Rok 1933, to dla Łobodowskiego, jak sam pisze, dość znamienna data:

W roku 1933 zgłosiłem się do 44 Pułku Strzelców Kresowych, stacjonowanego w Równem Wołyńskim, aby w miejscowej podchorążówce odbyć służbę wojskową.

Pamięci Sulamity (s. 1).

W kilka lat potem ja też odbywałem służbę wojskową w tej podchorążówce. Do dziś mam bardzo żywe z niej wspomnienia. Obok niechęci do złośliwego często znęcania się nad rekrutem, mającym po trzech miesiącach zamienić się w chlubnego podchorążego, pozostała mi pamięć kontaktów literackich z Czesławem Janczarskim, Janem Śpiewakiem i Zuzanną Ginczanką. Dwie pierwsze przetrwały wojnę i zamieniły się w przyjaźń. Ginczanki los, jak wiemy, był tragiczny.

Ale tam, w Równem, zaczął się prawdziwy kołowrotek, o dyscyplinie nie do pomyślenia dla młodego chłopaka o krnąbrnym charakterze i włóczęgowskich zamiłowaniach. Ponoszony nie wewnętrzną potrzebą ale sztubacką chełpliwością i żądzą sławy, wysłałem z podchorążówki jakiś wiersz do redagowanego w Warszawie „Podchorążaku”, co naraziło mnie na ogólne szyderstwa kolegów, zwłaszcza cwaniaków stołecznych i cichą dumę szefa mojej drużyny, plutonowego Kliszczka, bo - jak stwierdził - tylko jego drużyna w całej podchorążówce miała poetę, drukującego w „Podchorążaku”. Od tej pory miałem u niego przywileje. Często zwalniał mnie z ćwiczeń w polu, zatrudniał w kancelarii. Właśnie przy tych zajęciach Kliszcz kilka razy nadmienił, że kilka lat temu był tu poeta, który się strzelał. Bliższych szczegółów całej sprawy nie znał. Wiedział, że do śmierci nie doszło, żandarmeria zabrała podchorążego do szpitala - i to wszystko. Dopiero potem, gdy poznałem w Warszawie Czechowicza, Domińskiego i Piętaka, gdy dołączyłem do tak zwanej awangardy lubelskiej i brałem częsty udział w spotkaniach poetyckich w mieszkaniu Czechowicza na Smulikowskiego, usłyszałem dalszą wersję samobójczej przygody Łobodowskiego, któremu po wyjściu ze szpitala groził sąd wojskowy, zatuszowany przez Hłakowiczównę, wpływową poetkę z

kręgu Skamandra, legendarną kurierkę Piłsudskiego, mającą duży wpływ w kołach rządowych i u samego Marszałka.

A oto jak o tym pisze w bałamutnej i powierzchownej *Cyganerii*, Wacław Mrozowski. Przytaczam jego tekst tylko dlatego, iż powołuje się on na koronnego świadka całej sprawy, Kazimierza Jaworskiego, redaktora i człowieka o autentycznym wyczuciu prawdy:

Któregoś dnia - pisze Mrozowski - prof. Jaworski oznajmił mi, że w szpitalu wojskowym leży Józef Łobodowski. Ponieważ mieszkałem niedaleko, zapytał, czy nie byłbym skłonny odwiedzić go i przy okazji doręczyć książki, o które chory prosił. Nie znałem poety, mimo że słyszałem o nim wiele. Miał zresztą za sobą sławę głośnego procesu sądowego o bluźnierstwo i podburzanie tłumów i wyrok kilku miesięcy więzienia... Szedłem do szpitala z bijącym sercem. Układałem po drodze dialog, jaki prawdopodobnie będę prowadził. Oczywiście rozmowa tylko o poezji. Ciekaw byłem jego zdania o Czechowiczu. Słyszałem coś niecoś o zawiści zawodowej wśród piszących.

*Czy poznam go wśród chorych? Czy będzie się czymś wyróżniał? W jakim będzie stanie? Rzeczywistość była jednak okrutna. Gdy przekroczyłem próg sali szpitalnej, dyżurny sanitariusz wskazał mi łóżko. Oto ujrzałem niedoszłego samobójcę. Przywitaliśmy się: ja z uśmiechem, Łobodowski ponuro i nieufnie. Znał mnie z opowiadań KAJ-a (skrót nazwiska redaktora „Kameny”, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego). Siedział na łóżku i tłumaczył *Jesienina*. Wręczyłem mu dwa tomy *Błoka* po rosyjsku. Przyglądałem się uważnie jego twarzy, nic nie mówiąc. Zaniemówiłem po prostu. Ogarnął mnie jakiś lęk. Przez chwilę przemknęła myśl, czy aby to jest poeta. Tak brzydkiej i odrażającej twarzy jeszcze nie widziałem. Miał coś z małpy i trochę z człowieka.*

Wacław Mrozowski: *Cyganeria*, s. 13-14.

Oczywiście Mrozowski haniebnie przesadził. Trzeba jednak uwzględnić czas, kiedy pisał on swoje wspomnienie i rok wydania, 1963. Działy się wtedy gorsze rzeczy, plucie na emigrację, wyroki zaoczne, odbieranie obywatelstwa, anatema polityczna i paszkwile dziennikarskie, do których zwerbowano wielu znanych i zdolnych pisarzy. Wspomniany zaś wypadek w podchorążówce, opisał w londyńskim „Dzienniku Polskim”, z dnia 14 kwietnia 1989 roku Tadeusz Sobolewski, podający się za przyjaciela Łobodowskiego, który jakoby był naocznym świadkiem wypadku. Nie jestem pewny czy Sobolewski dokładnie pamięta opisane szczegóły, należy jednak je tu przytoczyć ze względów kronikarskich na użytek przyszłych biografów, dla których emigracyjna gazeta będzie prawdopodobnie nieosiągalnym unikatem. Samo wspomnienie zatytułowane *Łobodowski na podchorążówce*, o ile jest prawdziwe, zawiera kilka ciekawych momentów z życia poety. Końcowa jego część mówi o okolicznościach zamierzonego samobójstwa:

Ten wieczór - pisze Sobolewski - był tak samo szary, wszyscy siedzieli w świetlicy ucząc się regulaminów, mnie zaś powierzono zadanie uczenia walki bagnetem jednego z naszych kolegów, Żyda, który tej gałęzi nauki absolutnie nie pojmował. Byliśmy sami na sali, widziałem tylko że ktoś siedział pod ścianą przysłonięty łóżkiem, ale to mnie nie interesowało.... W pewnym momencie posłyszałem cichy trzask

i ujrzałem iż ten siedzący za łóżkiem zwali się na ziemię. Wlej samej chwili wbiegł Witkowski (plutonowy pełniący obowiązki podoficera służbowego) i ja wskazałem mu tego leżącego - jeszcze nie wiedziałem kto to. Plutonowy podbiegł, podniósł karabinek małokalibrowy, otworzył zamek i drobny dymek uniósł się z komory zamkowej. Krzyknąłem: „Izba chorych” i wybiegłem po lekarza. Dwaj sanitariusze złapali nosze i biegli ze mną do koszar. Kiedy wszedłem, Łobodowski leżał na stole, jęczał cicho. Patrzyłem na niego i nie mogłem uwierzyć: Józek! Cóżś ty zrobił najlepszego!!! Wkrótce nadszedł dowódca kompanii, kapitan Tarnawski, a potem dowódca pułku, pułkownik Werobej. Ten przez chwilę patrzył na Józka, po czym, głosem jak najbardziej urzędowym, spytał: „Czy chcieliście w ten sposób uniknąć służby wojskowej?”. Usłyszałem cichy szept: „Nie” - To go uratowało od kary.

Zabrano go do szpitala. Tej nocy nie spałem. Oficerowie buszowali po szafce Józka, wyrzucając książki Lermontowa, Tolstoja, Gogola - „bolszewizm, psiakrew”.... Nie spałem nie tylko dlatego, że człowiek którego przyjaźnią się szczyłem zrobił coś czego nie mogłem zrozumieć, ale również dlatego, iż oczekiwałem śledztwa. Byłem pewny, iż jako naoczny świadek, mogę być badany przez żandarmerię. Wachmistrz żandarmerii urzędował cała noc w biurze dowódcy kompanii i od czasu do czasu zaglądał do naszej sypialni, ale pomijał mnie całkowicie - interesował go kto inny, Roman Przezwański, nauczyciel z Dubna, który spał na górnym łóżku nade mną. Roman był również znany jako czerwony wywrotowiec...

Łobodowski wyzdrowiał i został całkowicie zwolniony ze służby. Nie wiem gdzie był i co robił w czasie okupacji, ucieszyłem się kiedy dowiedziałem się na tulańcu iż był w Madrycie gdzie kierował polską sekcją radia... Nie wiem jak osądzi go historia, kończy swoje wspomnienie Sobolewski.

Przypuszczam, że i to wspomnienie spotka się z wątpliwością historyków. Gdy zaś chodzi o urodę Łobodowskiego, to muszę tu zeznać, jako koronny świadek, że autor *Smutnych porachunków* był przed wojną szczęśliwym Casanową, wśród literackiej młodzieży w Warszawie. Mówi o tym jego zażyła przyjaźń z Zuzanną Ginczanką, wyjątkowo piękną i utalentowaną poetką, której poświęcił szereg wierszy drukowanych w „Wiadomościach Literackich” i w prasie emigracyjnej. Może była to miłość, a może jedynie fascynacja niepospolitą, wschodnią urodą autorki *O centaurach*, bliską wewnątrznie poecie, którego młodość otarła się o Kaukaz, rewolucję rosyjską i rozległy ukraiński krajobraz.

Wschód będzie miał duże znaczenie w twórczości Łobodowskiego, wzbudzi w nim głębokie zainteresowanie poezją rosyjską i ukraińską, zaś poprzez poezję arabską, w projektowanym *Dywanie wschodnim*, zrodzi się nowa tematyka ukoronowana tomem *Kasydy i gazele*. Jest to, jak określa poeta:

...poetycka wędrówka między Kordobą a Szyrazem, Tyflisem a Samarkandą, Kairem a Bagdadem, Stambulem a Ispahanem. Po drodze pragnę zahaczyć o Trebizonę i Erzerum, Aleppo i Damaszek, Szemachę i Temir Chan-Szurę, a również Tunis, Fez i Tetuan.

Tyle z planów Łobodowskiego, streszczonych w ciekawym studium poetyckim, wypowiedzią graniczącą ze spowiedzią, którą zaopatrzył *Kasydy i gazele*, tom wydany w Oficynie Poetów i

Malarzy w Londynie, w roku 1961.

Dzięki - że przytoczę swój w tym udział - staraniom poety Waława Iwaniuka i pomocy finansowej Klubu „Smocza Jama” w Toronto, Kanada. Jak to odnotował Łobodowski w „Kasydach i gazelach”.

Przy bogatej twórczości publicystycznej, narzuconej warunkami politycznymi, artykułach cotygodniowych w prasie emigracyjnej, często pisanych na zamówienie, o przemijającej wartości, komentarz od Autora, ogłoszony w *Kasydach i gazelach*, jest skrupulatnym wynurzeniem, ciekawym w każdym szczególe, twórczych planów Łobodowskiego.

Wnikliwy w przyszłości badacz, analizując *Kasydy i gazele* oraz pokrewne tematycznie wiersze poety, może pokusić się, właśnie dzięki ich nowatorskiej treści, o zestawienie ich z *Sonetami krymskimi* Mickiewicza, które spotkały się z krytyką. Odchylenia językowe w poetyckiej twórczości, niczego nie dowodzą, raczej ją wzbogacają. Co nam po różnych „gramatologach”, „sygnifikantach”, wartościach przewartościowanych, terminach nie mających nic wspólnego z żywą tkanką wiersza. Żaden poeta nie podpisze się pod tego rodzaju analizą, chyba że jest bardziej „konstytutywnym” krytykiem niż prawdziwym poetą. I jak wiemy, typ jałowych badań rozszerzył się wśród naukowców w społeczeństwach kontrolowanych, którym narzucono nie tylko światopogląd polityczny, ale ograniczono zakres ich wypowiedzi i możliwości twórczych.

Wróćmy jednak do dat przełomowych. Lata 1933 - 1939 były rzeczywiście u Łobodowskiego obfite w literacką i publicystyczną twórczość, przerywaną konfiskatami i wyrokami sądowymi, zaś ogłoszone w „Wiadomościach Literackich”, w roku 1935, *Smutne porachunki*, zapowiadały, jak sam Łobodowski wyjaśnił w londyńskich „Wiadomościach”, bliskie zerwanie z komunizmem. Gromy, które wtedy posypały się na niego, nie miały właściwie podstaw. Łobodowski nigdy nie należał do partii komunistycznej, nie interesował się jej międzynarodowym ruchem, a jedynie jego polskim odcinkiem. Warto jednak przypomnieć, co pisał niejaki Koźniewski w swojej *Historii co tydzień*, na stronach 117-118, o zerwaniu Łobodowskiego z komunizmem:

W roku 1935 - pisze Koźniewski - w „Wiadomościach Literackich” pojawił się nowy ton. W październiku Grydzewski ogłosił artykuł Józefa Łobodowskiego pt. „Smutne porachunki”, bombastyczny artykuł o charakterze paszkwilu, którego autorem był młodzieniec powierzchownie i krótko związany z ruchem komunistycznym. Pianą procesu znacznie bardziej głębokiego i znacznie bardziej istotnego. Dla prawdziwego komunisty sprawy nie były tak łatwe do publicznej demonstracji - najpierw rozrachunkowej, potem i odszczepieńczej. Co dla Łobodowskiego było efektownym kozłem politycznym (jeżeli odrzucić inne tłumaczenie, uwłaczającej natury...), dla prawdziwych komunistów było dramatem. Z Moskwy przychodziły wiadomości o przejawach naruszenia praworządności socjalistycznej... jawne pogwałcenie demokracji partyjnej i państwowej... Najszybciej jednak, jak zawsze, odzywali się ludzie przypadkowi czy wręcz renegaci I pierwszy artykuł Łobodowskiego, i jego następne artykuły: „Uzurpatorzy wolności”, „Za naszą wolność i waszą” (wszystkie w „Wiadomościach”), coraz bardziej antyradzieckie i antykomunistyczne, były dalekim echem tych trudnych spraw. Łobodowski łatwo stał się pupilem obozu rządowego, otrzymał Nagrodę

Urzędowi komuniści pokroju Koźniewskiego mieli tendencje upraszczania faktów i sytuacji. Wypełniali nakazy, myśląc o własnej karierze, nie dbając o prawdę. Nie miejsce tu na opis terroryzowanego społeczeństwa i obniżenia poziomu moralnego wśród inteligencji, o czym bardzo często pisał Łobodowski w swoich cotygodniowych felietonach w londyńskich „Wiadomościach”. Ktoś kiedyś pokusi się o ich wydanie i przekaże historii zasób politycznych faktów, którymi Łobodowski dysponował w dyskusjach emigracyjnych i krajowych fellow travelerów. Ci ostatni, żyjący wygodnie z łaski Zachodu i Emigracji, stwarzali często wśród nas pozory krajowego dobrobytu. Ale choć utalentowany krajowy pisarz mógł wydać na Zachodzie własną książkę i żyć z honorariów, to czy fakt ten wpływał na ogólny dobrobyt społeczeństwa? Na codzienny byt posługaczy szpitalnych i pielęgniarek, górników czy robotników rolnych, zahukanych urzędników na prowincji i milionowych rzesz głodnych obywateli, którzy nie mogli nawet marzyć o podróżach na Zachód, ani liczyć na pomoc dolarową od zamożnej rodziny. Walka o dobrobyt zaczyna się na własnym podwórku i uspołecznione kraje wiedzą o tym. O tym pisał stale Łobodowski, najpierw w *Worku Judaszów*, stałej kolumnie w londyńskich „Wiadomościach”, a po ich zamknięciu w londyńskim „Tygodniu Polskim”.

W roku 1964, aż w pięciu numerach paryskiej „Kultury” zamieścił Łobodowski polemiczny artykuł zatytułowany *O cyganach i katastrofistach*. Był on odpowiedzią i sprostowaniem na fakty zawarte w książkach: Śpiewaka, Szymańskiego i wspomnianego już Mrozowskiego. Łobodowski lubił i umiał polemizować, ostre miał pióro, zwłaszcza w politycznych dyskusjach, którymi się pasjonował. Był rasowym publicystą z dużą znajomością historii i literatury bieżącej. Jeśli się unosił, robił to ze swadą, gotów karcieć i łajać nieuków. Sam się z nim starłem kilka razy. Ostatnio, gdy chodziło o Falklandy, które ja przyznawałem Anglikom, gdy on hojną ręką oddawał je Argentynie. Do pojedynku jednak nie doszło, dzielił nas Atlantyk, a pojednało lubelskie powinowactwo zapoczątkowane jeszcze w czasach przedwojennych, odświeżane w przypadkowych spotkaniach podczas ostatniej wojny i potem na obradach jury „Wiadomości”, w schludnym i przytulnym Ognisku. Ostatnio Łobodowski przebywał tam często, dzięki finansowemu poparciu Koła Wyższych Oficerów Dyplomowanych. Miał on wśród nich gorącego zwolennika i wielbiela, pułkownika Sochackiego, byłego więźnia obozu koncentracyjnego w Hiszpanii, Miranda de Ebro.

Właściwie dzięki wojnie i przeżyciom powojennym Łobodowski stał mi się bliższy od Czechowicza. Co innego było w Warszawie, gdy mieszkalem na Dobrej, w pokoju u Rózi. Gdy Łobodowski tam mieszkał mnie jeszcze w Warszawie nie było, potem gdy od czasu do czasu przyjeżdżał do stolicy, ja albo byłem na wykładach albo na boisku sportowym. Na spotkaniach poetyckich u Czechowicza też go nie spotkałem. Moje wyrobienie polityczne było raczej powierzchowne, ale nigdy nie sympatyzowałem z komunizmem. Za dużo było we mnie radości życia i chęci poznania świata, tego geograficznego, rozbudzonego młodzieńczą lekturą książek podróżników i odkrywców. Wolałem uganiać się po boiskach sportowych, a nie patrzeć na pochody pierwszomajowe z warszawską Babą Jagą, Wandą Wasilewską, na czele. Przypuszczam że

Łobodowski w tamtych czasach nigdy nie był z sobą pogodzony. Trapiły go wewnętrzne niepokoje i materialne kłopoty. Sprawy polityczne i społeczne, twórcze i wydawnicze, wszystkie graniczące właściwie z niepowodzeniem, oprócz sukcesów poetyckich. Uspokoił się dopiero od czasu, gdy go przygarnął Grydzewski i mógł politycznie wypowiedzieć się na łamach jego pisma. A były to łamy wyjątkowo popularne i na wysokim poziomie, czytane przez polską inteligencję, redagowane obiektywnie, gdzie decydował poziom literacki. Myślę że zerwanie z komunizmem i do tego tak efektywnie dokonane, uspokoilo wewnętrznie Łobodowskiego, ale tylko do pewnego stopnia, bo ład wewnętrzny, który cechował Czechowicza, był mu obcy. Nawet na emigracji, gdy go spotykałem w Londynie, gdy korespondowałem z nim w sprawie wydania w Toronto jego tomików, w zdaniach rzuconych pospiesznie na papier, wyczuwało się wewnętrzny niepokój. Stale miał iks spraw napiętych, a jeszcze więcej w planie. Prawdziwą zmorą, która go dezorganizowała, były skłonności alkoholowe. Leczył się z nich w Madrycie i przez jakiś czas twierdził, że przestał pić, czy rzeczywiście, on sam tylko wiedział. Co jednak wyróżniało Łobodowskiego, wtedy w Warszawie, a potem na emigracji, że zawsze był sobą. Tym, kim chciał być i jakim chciał, by go widziano. W każdym z nas pokutuje narzucony szablon towarzyski czy życiowy, przystosowanie się do warunków lub okoliczności, w których możemy być tacy lub inni, podświadoma adaptacja, samorzutny nakaz wewnętrzny, coś w rodzaju instynktu ułatwiającego nam poruszanie się wśród ludzi i obcowanie z nimi. To coś, co pozwala nam wygłaszać sądy raz za, a drugi raz przeciw, nie wypowiadać dosadnych opinii lub je zręcznie modulować, być, w sumie, człowiekiem cywilizowanym i kulturalnym, czego Łobodowski nie uznawał. Był on zawsze sobą i tylko sobą, obojętne, czy w pewnych okolicznościach na tym tracił, czy zyskiwał. Tak chyba można określić jego jedyność, a zarazem wielkość. O jedyności pisał Czechowicz, stworzył nawet jej poetycką formułę, była ona inna od wewnętrznego świata Łobodowskiego i inna w poezji, bo obaj żyli na różnych poetyckich i życiowych biegunach. Czechowicz był konstrukcją szczelną i poetycko rdzenną, gdy Łobodowski, otwarty na historię i życie codzienne, nawiązywał w twórczości do grupy Skamandra i był jej ostatnim rozdziałem. Ostatnim ogniwem i to romantycznym, wiernym raz ustalonej poetyce.

Właściwie, to Łobodowski miał u mnie zaciągnięty dług. Dzięki moim staraniom, ukazały się wspomniane już *Kasydy i gazele*, a ostatnio, w 1987 roku, *Pamięci Sulamity*, wiersze poświęcone Zuzannie Ginczance. W swojej twórczości był konsekwentny, nie musiał ulegać współczesnym prądom poetyckim, zmieniać stylu, szukać nowego języka. Łobodowski, to już dziś historia i pod tym szyldem może spokojnie spoczywać. Zyskał on sobie dodatkowe uznanie i wdzięczność, tak na emigracji jak i w kraju, poświęcając swój talent twórczy sprawie polskiej, w bezinteresownej, często ze szkodą dla swoich osiągnięć literackich, walce.

Na emigracji umiera się dwa razy, w kraju urodzenia i kraju zamieszkania. Świadomość, która nas bezustannie trzyma na uwięzi przeszłości, nie pozwala na spokojne odejście. Zwłaszcza iż to odejście jest w momencie politycznej niepewności, zagrożenia utraty rodzinnego kraju. A Polska w tym okresie była istotnie nad przepaścią. Utrata niepodległości, którą Stalin z góry przesądził,

groźba zamienienia w republikę sowiecką. Łobodowski intensywnie to przeżywał, nie tylko w swojej publicystyce, ale i poezji. Był on pod tym względem spadkobiercą poetów Wielkiej Emigracji, a że poznał komunizm od jego najbardziej koszarnej strony, mógł z całą wiarą wyzywać się politycznie, zwalczając wroga ideologię. Mimo iż robił to z odległego Madrytu, politycznie, żył duchem Londynu, gdzie często bywał, a umacniał go w jego przekonaniach duch paryskiej „Kultury”, sąsiadującej z Madrytem. Zaś jej politycznym programem była walka z komunizmem. Takie stwierdzenie wydaje się dziś dość banalne, ale nie wtedy, gdy oczy świata wpatrzone były w Stalina, gdy Rosja nie tylko górowała militarnie, ale była dla wielu moralnym źródłem obrony praw człowieka, a szerzone wieści o obozach koncentracyjnych uważano za wrogą propagandę. Do tego Stalin zjednał sobie czołowych intelektualistów nie tylko w Europie, ale i w Stanach Zjednoczonych. Walka z nimi popierana nawet dowodami, trafiała na tępy opór. Raz zacadzona komunizmem atmosfera świata, wróżyła bliskie zwycięstwo sowietów. Była to chyba najbardziej ogłupiająca zagadka w historii świata, kłamstwo podszywające się pod ogólnoludzką, humanitarną ideologię. Kto mógł lub chciał wtedy jemu lub nam wierzyć, „zbankrutowanym faszystom” odmawiającym powrotu do socjalistycznej Polski. Nawet wśród młodego pokolenia piszących, którzy nawiązali kontakt z krajem, działalność polityczna Łobodowskiego była krytykowana, odrzucili oni nie tylko jego poglądy ale i poetykę, nie zdając sobie sprawy z jej historycznego węzła. Był to okres umysłowego zacadzzenia Eliotem i Poundem. Eliot, dzięki *Ziemii jałowej*, którą Pound doprowadził do poetyckiego kunsztu, otrzymał Nobla.

(...) W roku 1977 odbyło się sympozjum polsko-ukraińskie na uniwersytecie w Hamiltonie, w Kanadzie. Było to miasto wtedy brudnawe, przemysłowe, obwieszone dymami fabrycznymi. Mała zatoka dzieli je od ogromnego jeziora Ontario, pochłaniającego brudy fabryczne i wydzieliny spalinowe. Ale uniwersytet ma swoją rangę i zamożne społeczeństwo ukraińskie zaprosiło Łobodowskiego z Madrytu na wspomnianą konferencję. Łobodowskiego od lat łączyła przyjaźń z narodem ukraińskim. Znał jego historię, literaturę i sztukę, włączył się uczuciowo w polityczną walkę o niepodległość. Skąd narodziła się ta przyjaźń, trudno mi określić, ale pamiętam, że jeszcze w Warszawie wołano na niego „Ataman Łoboda”.

Konferencja o której wspomniałem była w dniach 20-22 października, zgromadziła wielu polskich, ukraińskich, kanadyjskich, amerykańskich i innych uczonych i profesorów. Wachlarz referatów był urozmaicony, od naukowych po literackie zagadnienia, organizatorami zaś konferencji był Międzynarodowy Komitet Zagadnień Komunistycznych i Europy Wschodniej Uniwersytetu McMaster oraz Kanadyjski Instytut Studiów Ukrainoznawczych Uniwersytetu Alberta. Łobodowski mówił o polsko-ukraińskich związkach literackich. Mówił rzeczowo, ze swadą, jego przemówienie wzbudziło ogromne zainteresowanie i dużą dyskusję.

Po konferencji hamiltonskiej, emigracja ukraińska w Toronto zorganizowała Łobodowskiemu wieczór autorski. Wielu wielbicieli talentu Łobodowskiego wśród Polonii, brało udział w tym rzeczywiście entuzjastycznym wieczorze. Wszystkie miejsca były zajęte, przejścia i korytarze wypełnili stojący słuchacze, Łobodowski swoim tubalnym głosem mówił i czytał wiersze

doskonale, a robił to z wrodzonym aktorem talentem. Przypuszczam że tryumf ten przyczynił się wśród nas do zacieśnienia więzów przyjaźni polsko-ukraińskiej. Bo Łobodowski swoim entuzjazmem i głosem, który nie znosił sprzeciwów, przekonywał. W zapale dyskusji argumenty same narzucały mu się, płynęły jakby przygotowane i wyuczone z góry, co - jak wiemy - wpływało z encyklopedycznej pamięci autora *Demonom nocy!* Czas ten dla wielu z nas, był wypełniony obecnością Łobodowskiego, samo Toronto jakby nabrało żywszych rumieńców życia, tego które utraciliśmy, wybierając emigrację do Kanady. Nikt z nas zresztą nie spodziewał się, że wyjeżdżając za ocean, wpadniemy w pustkę kulturalną, ucieczka z zagrożonej Europy, była celem samym w sobie. Anglia była wyczerpana i zmęczona, my, po demobilizacji, pragnęliśmy cywilną pustkę zastąpić surogatem życia, możliwości, teoretycznie, było dość dużo, wszystkie jednak pisane na wodzie. Ten, kto nie wracał do kraju, mógł liczyć jedynie na samego siebie i administracyjną pomoc, prawo pobytu jak w Kanadzie, wykonując roczny kontrakt w lesie, przy myciu naczyń w restauracji lub pomagając farmerowi w jego pracy na roli. Ci bez kontraktów, byli zdani całkowicie na samych siebie. W tej stagnacji każda kulturalna impreza, wywoływała zrozumiałe zainteresowanie.

Łobodowski, po sukcesach wśród Ukraińców, zamieszkał w milionerskiej dzielnicy, w pięknym pałacyku państwa Jellaczyców, gdzieomalże noszony był na rękach. Wylegiwał się w puchach, pani domu, zdolna aktorka ze szkoły Schillera, Habrowska-Jellaczyc, donosiła naszemu pocie smakołyki z kuchni, zaś Gospodarz obstawił spragnionego gościa butelkami win i alkoholi. Byłem obecny przy tych celebracjach, gdyż Łobodowskiemu pożyczyłem własną maszynę do pisania, by - jak twierdził - zarobić „na chleb”. Nawet od Jellaczyców pisał swoje korespondencje do pism w Anglii. Maszyna potem przestała mnie słuchać, ale było to już po wyjeździe Józia, gdy tutejsza monotonia, sprawiedliwym porządkiem rzeczy wróciła do naszych domów. Spotkaliśmy się jeszcze w małym gronie przyjaciół w mieszkaniu państwa Tomaszewskich, znanych autorów z pism emigracyjnych, londyńskich „Wiadomości” i paryskiej „Kultury”, gdzie talent Łobodowskiego zaraził nas wszystkich. Długo jeszcze żyliśmy potem pod jego urokiem. Wypada na tym miejscu sprostować wypowiedź wszędobylskiego Kisiela, który w piśmie krajowym, tak określił wizytę Łobodowskiego w Kanadzie: ukrainofil Łobodowski użył tam, jak pies w studni, ale nie była to pierwsza, ani ostatnia fałszywa wypowiedź naszego katolickiego laika. Słusznie zresztą odpowiedział mu potem Łobodowski w „Orle Białym”, w październikowym numerze, z roku 1980.

Pisarz amerykański, Edgar Allan Poe pisał niesamowite opowiadania i równie niesamowite wiersze. Groza ich do dziś straszy wielbicieli tego pisarza oraz starszą dziatwę szkolną, uczęszczającą na filmowe realizacje opowiadań Poego. Na ekranie są one rzeczywiście niesamowicie niesamowite. Poe napisał wiersz, przypominający w rytmice marsz hitlerowskich janczarów, choć prawdę mówiąc, wiersz ma wydźwięk muzyczny i moje porównanie może wywołać u wiciu czytelników sprzeciw. Łobodowski, wielbiciel Poego, też zaprotestował w dyskusji literackiej, gdyż wspomniany wiersz *Kruk* znał on na pamięć i przy wspólnej popijawie, w domu u państwa Jellaczyców, recytował go chętnie swoim tubalnym głosem. Pamiętam tę scenę,

gdy szlachetnym winem w szlachetnych kryształach piliśmy zdrowie Poego. Dla mnie ta wzmianka była na czasie, bo przekładałem wtedy wielu amerykańskich poetów, natomiast Łobodowski nie znał angielskiego i Poego wiersz recytował w polskim przekładzie, prawdopodobnie Czesława Jastrzębca-Kozłowskiego, dokonany w 1915 roku. Potem fascynował się we Francji Baudelairem i on chyba przyczynił się do popularności tego pisarza w Europie. Francja, jak wiemy, była pępkim nowości literackich, a nazwisko autora *Kwiatów zła*, było ich gwarancją.

Na zakończenie tego rozdziału przytoczę wiersz, którym moje pokolenie w okresie przedwojennym fascynowało się i który przytoczył w naszej dyskusji torontońskiej Łobodowski.

Proroczy wiersz Staffa:

*Trudny i twardy będzie, poeto, twój urząd
Czuwanie w Śnie o brzasku,
A ślad twój tak nietrwały, jak trop ptasich nóg
Na lotnym, wietrznym piasku.*

*Przeszukuj lotem ducha dal wielomilową,
Jak zwrotnikowy pasat,
Zdobywaj co dzień Boga i siebie na nowo
i nie miej nigdy zasad.*

*Zaprzysięgniesz swą wiarę, ukochasz rojenia,
Wiecznie niewierny dnia hasła,
Poznasz wszystkie zawody, gorycze, cierpienia,
Lecz ci nie wolno mieć zasług.*

*Aż wszyscy w najślawniejszym bezimiennym rządzie
Cześć i nagrodę znajdziecie,
w wiekach tak bardzo potnych, że już liczb nie będzie,
I na nie jednym już świecie.*

(„Złe Przykazanie”).